

DOMEK NA DRZEWIE

tekst: HOLA Design – Monika i Adam Bronikowscy,
zdjęcia: Blue Forest Luxury Tree Houses, www.blueforest.com



Lato mija szybciej niż tego byśmy oczekiwali. Przed chwilą był kwiecień, a już za pasem sierpień. Lato, wakacje, to okres dziecięcej bez troski. Niestety obecnie tej bez troski na łonie przyrody jest mniej niż kiedy to my byliśmy dziećmi.

Dziecięce preferencje po części pozostają jednak niezmiennie w czasie. Chociażby te czytelnicze. Jak wskazują ostatnie badania jedną z bardziej lubianych przez dzieci książek są nadal „Dzieci z Bullerbyn”. Idąc tym tropem powzięliśmy wiosenne postanowienie: na dzień dziecka w ogrodzie ma stanąć „domek na drzewie”. No może nie do końca „na” ale „pod drzewem”, z racji braku drzewa, które by sprostało tak trudnemu zadaniu. I domek stanął. W odróżnieniu od kilka lat wcześniej skleconej huśtawki, tym razem już nie siłą rodzicielskich mięśni a wyspecjalizowanego montażysty. Może dlatego stanął w dwie godziny a nie jak w przypadku huśtawki w dwa dni?



Najważniejsze, że się ziścił. Stanął w stanie „surowym otwartym”. Małoletni inwestorzy zostali bowiem zarażeni wizją wykończenia „metodą gospodarczą”. Na ile działań tym najmłodszym inwestorom zapalał starczyło o tym w kilku słowach poniżej.

Jako, że stan był surowy a budulec drewniany podjechaliśmy do najbliższego punktu oferującego farby. To był plan na dzień pierwszy. Reszta wyposażenia miała zostać zamówiona (i została zamówiona) drogą elektroniczną. Wracając do farb – niewypowiedziana na głos wizja rodziców co do kolorystyki legła w gruzach przed tablicą z próbkami kolorów. Pomysłów było wiele. Działania rodzicielskie wspierały dziecięce idee kierując je delikatnie na sobie oczekiwane tory. Delikatnie - tak by dać dzieciom swobodę wyboru ograniczając go jednocześnie w sposób, może nie jakoś wcześniej przemyślany, ale przynajmniej wynikający z potrzeby chwili i szybkiej oceny wydarzeń. Co finalnie z tego wyniknęło? Poza siatką pełną różnej wielkości pędzli oraz małym zapasem taśmy malarskiej razem z nami do domu pojechały „wrzosowe pole” i „ryżowe pola” oraz puszcza białej farby o bliżej nieokreślonym nazewnictwie. Jak się później okazało ta ostatnia była zbyt mała i ratować się trzeba było resztkami farby z ostatniego remontu. Dobrze, że chodziło o kolor biały, bo w przypadku dwóch pozostałych raczej nie byłoby się czym ratować.

Ostatecznie, mimo groźnie brzmiących nazw z plebejskim rodowodem, efekt przerósł oczekiwania. Pewnie nie tylko dlatego, że te wszystkie „pola” razem z bielą zgrały się w bardzo sympatyczną całość, ale również dzięki manualnym zdolnościom malarzy. Do nich i do wcześniej wspomnianego zaangażowania wracając – jak większość rodziców może się spodziewać, to my finalnie sami zostaliśmy na polu boju z pędzlami w dłoniach. Ale efekt został osiągnięty. Było dużo zabawy i zaangażowania małoletnich w kreowanie swojego własnego miejsca. Bo o to głównie chodziło. Nie o to żeby nadać finalny szlif powstałej konstrukcji, ale by uczyć, że należy świadomie kreować przestrzeń, w której się funkcjonuje, by zwracać na nią uwagę, pilnować i planować jej estetyczną tożsamość. Tworzyć ją w zgodzie ze sobą ale i w poczuciu odpowiedzialności za to jak ona koresponduje z otoczeniem.

Chodziło o edukację, o wpajanie, że „estetyka” to nie tylko kolejna dziwna pozycja w słowniku języka polskiego. Chodziło o budzenie wrażliwości na sprawy dla wielu niestety zupełnie obojętne i nieistotne. Bo czyż nie lepiej żyć w otoczeniu, które cieszy oko? W miejscach kreowanych w sposób przemyślany? Czym większa jest rzesza tych, którym te sprawy obce nie są, tym większa szansa na to, że funkcjonować będziemy w otoczeniu, które zasługuje na miano estetycznego. Najlepsza na to recepta to nasączenie przysłowiowych skorupki z młodu - niech nam na starość trąca tym co najlepsze.

